

POMIĘDZY KŁAMSTWAMI



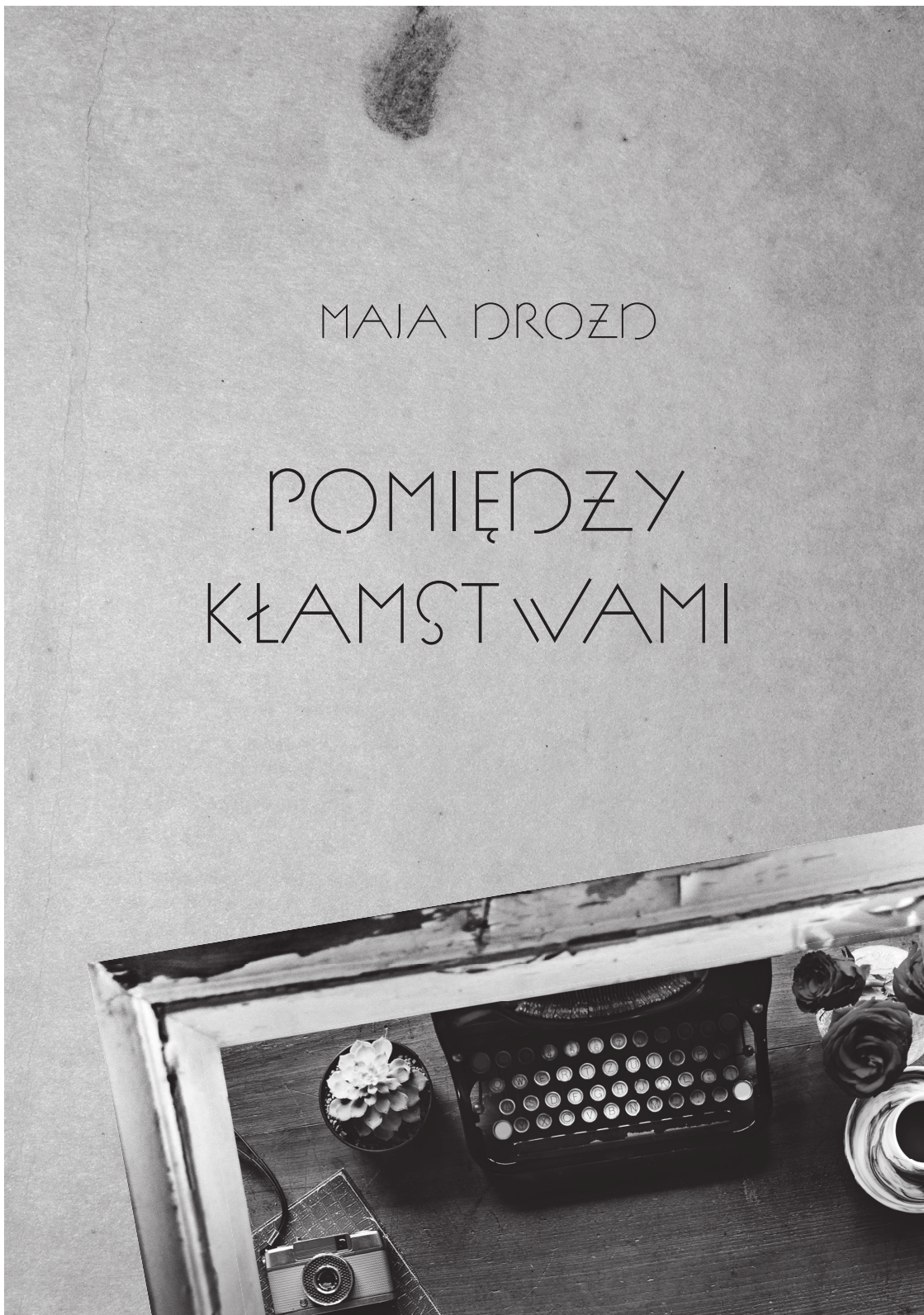
MAJA
DROZD

MAIA DROŻD

POMIĘDZY
KŁAMSTWAMI

MAIA DROZD

POMIĘDZY
KŁAMSTWAMI



Redakcja: Joanna Rychter

Skład, opracowanie graficzne książki i okładki, I korekta:
Kachna Kraśnianka-Sołtys Krainy L...

II korekta: Wielogłowska Katarzyna Mróz-Jaskuła

Projekt okładki: Małgorzata Dobczyńska

Wydawnictwo: KSD Małgorzata Drozdowska

ISBN: 9788367409032

W książce wykorzystano zdjęcia z serwisu Pixabay
(RoDobby, Free Creative Stuff, raffaelepullara, congerdesign,
Skitterphoto, cocoparisienne).

SPOŚRÓD WIELU NIEZWYKŁYCH OSÓB,
KTÓRE PRZYCZYNIŁY SIĘ DO POWSTANIA TEJ KSIĄŻKI,
SZCZEGÓLNE PODZIĘKOWANIA CHCIAŁABYM ZŁOŻYĆ:
MOIM NAIBLIŻSZYM - WOITKOWI, HANI I SZYMKOWI,
KTÓRZY OBDARZYLI MNIE BEZWARUNKOWYM ZAUFANIEM
I BEZGRANICZNYM WSPARCIEM W REALIZACJI MOJEGO MARZENIA
ORAZ
ASI - PIERWSZEJ RECENZENTCE I OSOBIE,
DZIĘKI KTÓREI OŚMIELIŁAM SIĘ POKAZAĆ ŚWIATU
HISTORIĘ MARTY I WILLEGO.

CZĘŚĆ I



WARSZAWA,
WIOSNA 1942 ROKU



Oficer Wehrmachtu służy tam, dokąd wyśle go Führer i ojczyzna. Nie wolno mu przywiązywać się ani do miejsc, ani do ludzi. Tymczasem on od jakiegoś czasu czuł, że Warszawa mimo wszystko stawała się jego nowym domem, chociaż wiedział, że nie powinna. A teraz znów do niej wrócił.

Wiosenne popołudnie nastrajało do spaceru i Willi Oldenburg chętnie korzystał z ciepłych promieni słońca. Warszawskie ulice wciąż nosiły ślady bombardowań. Gdzieś widać było nieuprzątnięte gruzowiska i budynki z podziurawionymi elewacjami. Oszpecone i pozbawione ścian kamienice wstydliwie odsłaniały puste, pokryte pyłem wnętrza, które jeszcze nie tak dawno tętniły życiem. Ludzie mijali je, obojętni na ich niemą rozpacz. Życie toczyło się swoim rytmem. Na ulicach panował ruch i gwar, bo przechodnie zajęci swoimi problemami podążali w sobie tylko wiadomym kierunku, żeby zająć się jakąś bardzo ważną sprawą.

Podkute buty Willego miarowo uderzały o bruk, jednostajnie i zdecydowanie. Szedł wyprostowany i dumny. Przecież niemiecki mundur wymagał od niego odpowiedniego sposobu chodzenia i właściwej postawy. Postawy zwycięzcy. Ale w tym mieście nawet zwycięzcy nie mogli pozwolić sobie na brak czujności. Nadal trwała wojna i nie można było dać się zwieść ciepłemu wiosennemu słońcu. Willi stał się teraz mieszkańcem

Warszawy, a każdy, kto przebywał w tym mieście, bez względu na to, po której stronie się znajdował, musiał pozostać czujny.

Wyostrzone zmysły i tym razem, dużo szybciej niż innym, pozwoliły mu usłyszeć niepokojące sygnały warszawskiej ulicy. Warkot samochodów, okrzyki żołnierzy i ujadanie psów wskazywały jedno. Łapanka. Dźwięki z każdą chwilą stawały się głośniejsze. A im były wyraźniejsze, tym szybciej poruszali się przechodnie. Przyspieszali kroku, nerwowo chowali się w bramach kamienic. A ci, którzy nie zdołali się ukryć, zaczęli biec, wierząc, że w jakiś cudowny sposób zdołają uniknąć nieuniknionego. Willi czuł się bezpieczny, mógł bez lęku i w spokoju obserwować przerażający spektakl. Mógł, ale nie umiał. Palił go wstyd i ogarniała bezradność wobec nieszczęścia ludzi, których świat właśnie brutalnie niszczyli żołnierze w takich samych mundurach jak jego.

Z drzwi księgarni, którą właśnie mijał, nieświadoma niczego, prosto w nadciągające piekło, wyszła młoda kobieta. Zajęta zamykaniem torebki nie dostrzegła nic niepokojącego i z impetem zderzyła się z nim, tracąc równowagę. Willi odruchowo chwycił ją za ramię i przytrzymał, chroniąc przed upadkiem.

- Przepraszam - powiedziała po polsku, stając pewnie na nogach. Podniosła wzrok i spojrzała na swojego wybawcę.

W jej zielonych oczach malowało się zdziwienie. Wtedy zaczęły docierać do niej odgłosy z otoczenia. Przeniosła wzrok w głąb ulicy, tuż nad jego ramieniem. To, co zobaczyła, najwyraźniej ją przeraziło. Szybko odwróciła głowę, mając nadzieję, że znajdzie drogę ucieczki. Bezskutecznie. Była w pułapce.

Ciężarówki z żołnierzami i psami zamykały wylot ulicy. Może udałoby się jej jeszcze gdzieś schronić, gdyby nie fakt, że za ramię mocno trzymał ją niemiecki oficer.

Widząc jej przerażenie, Willi w ułamku sekundy podjął decyzję.

- Spokojnie. Jesteś... moją przyjaciółką - powiedział po niemiecku. - Rozumiesz? - zapytał, uwalniając jej ramię z uścisku i jednocześnie nadstawiając swoje.

Kobieta zrozumiała, bo skinęła twierdząco głową i ujęła go za ramię.

- W porządku. Idziemy.

Mężczyzna mówił spokojnym i zdecydowanym głosem, jakby był przyzwyczajony do wydawania poleceń. Nieznajoma obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Zważywszy na sytuację, wszelki sprzeciw i tak był daremny. Wzięła głęboki oddech i wyprostowała się, starając się nadać swoim ruchom swobodę, a potem ruszyła wraz z nim w kierunku końca ulicy, gdzie stały ciężarówki i żołnierze z psami. Z daleka wyglądali zupełnie jak para dobrych znajomych spacerujących po Warszawie w ciepłe wiosenne popołudnie.

- Jestem Willi - powiedział, patrząc wprost przed siebie.

- Marta - odpowiedziała.

Widząc nadchodzącego oficera, żołnierze zaszalutowali. Willi wyjął dokumenty z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Porucznik Wilhelm Oldenburg - powiedział. - A to moja przyjaciółka Marta.

Młody żołnierz, najwyraźniej dowódca oddziału, obrzucił ich wzrokiem, nieco dłużej zatrzymując spojrzenie na kobiecie.

Nie wyglądała na zdenerwowaną, chociaż jej dłoń ścisnęła ramię oficera niczym stalowa klamra. Po chwili żołnierz stuknął obcasami i, nie sprawdzając nawet dokumentów, odsunął się, zasalutował raz jeszcze i przepuścił ich przez szpaler. Willi skinął głową na pożegnanie i razem z nieznajomą ruszył przed siebie całkowicie opustoszałą ulicą. Za plecami słyszeli lamenty ludzi wpychanych do ciężarówek, pokrzykiwania żołnierzy i ujadanie psów. Szli w milczeniu. Im bardziej oddalali się od tego miejsca, tym uścisk na jego ramieniu stawał się lżejszy, a na ulicach pojawiało się coraz więcej ludzi. Życie dalej biegło swoim rytmem, jakby tuż obok nie zdarzyło się nic niezwykłego. Zwykły mały koniec świata dla kilku istnień ludzkich skazanych na rozłąkę, ból, a może nawet śmierć tylko dlatego, że znaleźli się w złym miejscu w niewłaściwym czasie.

- Dokąd panią odprowadzić? - zapytał po niemiecku oficer, mówiąc bardzo wyraźnie i powoli.

Kobieta zatrzymała się. Stała teraz na wprost niego, miał więc możliwość lepiej się jej przyjrzeć. Była raczej w jego wieku, ale szczupła sylwetka dodawała jej dziewczęcego uroku. Sposób ubierania - skromny, ale z pewnym rodzajem swobodnej elegancji - wskazywał na towarzyskie obycie i staranne wychowanie. Włosy koloru dojrzałej pszenicy upięte pod kapeluszem podkreślały niebywale smukłą i długą szyję. Nieznajoma również obserwowała go z zaciekawieniem, mrużąc przy tym ogromne szmaragdowe oczy. Nigdy w życiu nie widziałem takich oczu - pomyślał.

Tymczasem kobieta również skończyła mu się przyglądać i spokojnym głosem odpowiedziała płynnie po niemiecku:

- Nie musi mnie pan odprowadzać. I tak wiele pan dla mnie zrobił. Dziękuję.

Willi spojrział na nią zaskoczony. Nie spodziewał się, że odpowiedź usłyszy po niemiecku. Wprawdzie kobieta miała nieco dziwny, jakby południowy akcent, ale swoboda mówienia wskazywała na to, że musiała często posługiwać się tym językiem. Niemożliwe, żeby uratował z łapanek Niemkę! Żadna Niemka odruchowo nie przeprosza po polsku i nie jest przerażona na widok niemieckich żołnierzy. Niemożliwe.

- Nie musi pani dziękować. To była przyjemność. Bardzo dobrze mówi pani po niemiecku - zauważył. Kobieta zaciekawiała go i miał nadzieję, że dowie się o niej czegoś więcej.

- Mimo wszystko jeszcze raz dziękuję - odpowiedziała, nie dając się wciągnąć w rozmowę.

Zważywszy na okoliczności, było to zrozumiałe. Pozostało się więc pożegnać.

- Do zobaczenia, pani Marto. Proszę unikać łapanek. Nie zawsze będę mógł panią uratować - powiedział z uśmiechem, uścisnął jej dłoń i skinął głową na pożegnanie.

Uśmiechnęła się i ruszyła przed siebie.

Willi pozostał na miejscu. Wyciągnął papierosa, zapalił go i z przyjemnością zaciągnął się dymem, w spokoju obserwując oddalającą się kobietę.

Marta szła powoli, tak aby w jakikolwiek sposób nie zdradzić nerwowości i niepokoju. W ostatnim czasie, a szczególnie przez ubiegły miesiąc, odkąd mieszkała w Warszawie, nauczyła się

starannie ukrywać emocje, tłumić je i zachowywać spokój w kryzysowych sytuacjach. Nauczyła się je chować, co nie znaczy, że ich nie odczuwała.

Sytuacja z łapanką mocno ją zdenerwowała. Cud, że udało się jej wyjść z tego bez szwanku. Skąd wziął się tam ten niemiecki oficer? Dlaczego jej pomógł? Jaki miał w tym cel? Te i inne myśli kłębiły się w jej głowie, kiedy pożegnała się ze swoim niespodziewanym wybawcą. Wiedziała, że mężczyzna obserwował ją jeszcze przez chwilę. Czuła jego wzrok na swoich plecach. Weszła do bramy kamienicy, w której mieszkała, a kiedy już była pewna, że nikt jej nie śledzi, zaczęła iść szybciej. Prawie wbiegła na czwarte piętro. Nerwowo wygrzebała klucze z torbki i walcząc ze starym zamknięciem, próbowała otworzyć drzwi. Kiedy w końcu udało się jej wejść do środka, zamknęła za sobą drzwi na zamek, oparła się o nie plecami, oddychając głęboko. Poczła oblewającą ją falę gorąca. Szybko rozwiązała apaszkę i zdjęła płaszcz, a kiedy ściągała kapelusz, zauważyła, że drżą jej ręce. Weszła do łazienki, podeszła do umywalki i zimną wodą schłodziła twarz. Stała tak chwilę, opierając się na rękach, i przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze.

– Miałaś szczęście – powiedziała do siebie.

Wprawdzie jako tłumaczka i stenotypistka z alei Szucha¹ miała nienaganne papiery, ale gdyby komukolwiek przyszło

1 W czasie II wojny światowej przy alei Szucha mieściły się urzędy niemieckiej policji politycznej, kryminalnej i porządkowej na obszar dystryktu warszawskiego, a okoliczne budynki zajęto na potrzeby policji i SS oraz na mieszkania dla funkcjonariuszy niemieckich (wszystkie przypisy w tekście pochodzą od autorki).

do głowy sprawdzić, co niosła w torebce, na nic by się one zdały. Byłaby skończona. Wywózka do obozu mogłaby się okazać najłagodniejszą karą.

A przecież miała nie ryzykować. Obiecała to Oskarowi, a właściwie to wymusił na niej tę obietnicę, kiedy widzieli się po raz ostatni. Znał ją zbyt dobrze i wiedział, że Marta nie będzie bezczynna w obliczu tego, co działo się na świecie. Dlatego kazał jej przysiąc, że zadba o siebie i Anię. Zabronił jej ryzykować. Więc przysięgła. A potem zawalił się jej świat. Czy obietnica dana zmarłemu nadal jest wiążąca? Przecież Oskara tutaj już nie ma. Nie musi patrzeć każdego dnia na śmierć, na rozpacz, na pogardę. On nie musi, ale ona tak. Dlatego musiała podjąć taką decyzję.

Z Zygmuntem znali się od dziecka, jeszcze ze Lwowa. Wychowywali się razem. Łączyły ich wspólne dziecięce zabawy na podwórku kamienicy, w której mieszkali. Był dla niej jak brat. Dlatego kiedy spotkała go w Krakowie, bardzo szybko zaproponował jej udział w organizowanej przez niego siatce ruchu oporu. Inni mogli mieć wątpliwości, ale nie on. Wiedział, kim Marta jest naprawdę, i ufał jej bezgranicznie. Na początku odmówiła. Zrozumiał. Oskar zginął i jej córka miała teraz tylko ją. Marta musiała o nią zadbać. Ale później wydarzyło się coś, co odmieniło wszystko.

To było zwyczajne letnie popołudnie. Wracła do domu po pracy. Wokół panowały cisza i spokój. Ludzie leniwie przechadzali się ulicami, wystawiając się na promienie słoneczne z równie wielką przyjemnością co koty, które spragnione ciepła wylegiwały się na nagrzanym kamiennym bruku. Stała przed

wystawą jednego z mijanych sklepów. I wtedy usłyszała za sobą jakieś poruszenie. Do jej uszu doleciały niemieckie okrzyki i odgłosy szybkich kroków. Zupełnie jakby ktoś kogoś gonił. Odwróciła się i zobaczyła młodego chłopaka, za którym biegło dwóch żołnierzy w czarnych mundurach Gestapo. Krzyczeli głośno, a w rękach trzymali broń. Uciekający zrównał się z nią, najwyraźniej chcąc ukryć się w bramie kamienicy, przy której stała. Słyszała jego ciężki oddech, widziała przerażenie w jego oczach. Mógł mieć nie więcej niż szesnaście, może siedemnaście lat. I wtedy usłyszała strzał. Chłopak zatrzymał się i wyciągnął nienaturalnie ręce w bok jak ptak zrywający się do lotu. Padł drugi strzał. Ciało uciekiniera zadrżało i bezwładnie upadło na ulicę. Marta stała jak sparaliżowana. Huk wystrzału zupełnie ją ogłuszył. Ludzie rozpierzchli się w popłochu, a ona wciąż tkwiła w miejscu, nie mogąc zrobić kroku. Widziała, jak krew chłopaka powoli wsiąka w bruk krakowskiej ulicy. Ktoś chwycił ją za rękę i wciągnął do bramy. Gestapowcy podeszli do leżącego ciała, kopniakiem odwrócili je i ze śmiechem przyglądali się mu, najwyraźniej zadowoleni z tego, co zrobili. Po chwili zapalili papierosa. Marta nie potrafiła zrozumieć, jak mogli z takim spokojem, z taką zimną obojętnością patrzeć na twarz dziecka, które właśnie zamordowali. Jak można było dopuścić do tego, że ludzkie życie przestało mieć jakąkolwiek wartość? W głowie wciąż słyszała metaliczny odgłos wystrzału, a na twarzy czuła wilgotne ciepło. Pewnie to łzy – pomyślała. Rękami przetarła twarz. I wtedy zobaczyła, że na jej dłoniach zostały ślady krwi. To nie była jej krew. Zadrżała. Zrozumiała, że pozostając beczynną, jest tak samo winna śmierci tego

chłopca jak ci, którzy pociągnęli za spust. Jasne już stało się, co musi zrobić. Odnalazła Zygmunta i przyjęła jego propozycję. Postawiła tylko jeden warunek – bezpieczeństwo Ani.

Od początku wiedziała, jakiego typu zadanie zostanie jej powierzone. To było oczywiste. Austria to w końcu część III Rzeszy². A ona, urodzona w Wiedniu córka Austriaczki i Polaka, wdowa po Austriaku, żołnierzu Wehrmachtu, mogła wiele. Zatrudniła się jako stenotypistka i tłumaczka w niemieckiej administracji. Najpierw pracowała w Krakowie, a potem przeprowadziła się do Warszawy i rozpoczęła pracę w alei Szucha. Dzień w dzień udawała się do pracy i spędzała czas między ludźmi, którzy odpowiadali za śmierć Oskara, którzy polowali na nią i jej przyjaciół. Co rano stawała się kimś innym, by wieczorem móc spokojnie i bez wyrzutu spojrzeć sobie w oczy, wierząc, że to wszystko ma sens.

* * *

Następnego dnia, jak co rano, przybrała postać przykładnej niemieckiej urzędniczki i udała się do pracy. Minęła strażników, legitymując się dokumentami, w których widniała jako Marta Heller, mieszkanka Wiednia, obywatelka III Rzeszy i skierowała się na piętro do sali, gdzie pracowały stenotypistki. O tej porze panowała tam cisza, ale kobieta wiedziała, że za kilka minut pomieszczenie wypełni się gwarem rozmów i odgłosem maszyn do pisania. Jej przełożona, pani Baumann, siedziała

2 Wojska niemieckie 12 marca 1938 r. bez wystrzału zajęły Austrię, przekształcając ją w jedną z prowincji Rzeszy. Był to tzw. Anschluss Austrii.

już na swoim miejscu. Marta przywitała się z nią i podeszła do swojego biurka, które stało w samym kącie sali, nieco na uboczu. Lubiła to miejsce, bo wiedziała, że z boku można obserwować spokojniej, a z cienia zawsze widać najwięcej.

Pani Baumann codziennie pierwsza meldowała się na stanowisku i ostatnia wychodziła do domu. Marta niejednokrotnie zastanawiała się nawet, czy kobieta w ogóle ma jakiś dom i czy nie nocuje w biurze, rozkładając materac i jak mityczny Cerber, strzegąc tajemnic III Rzeszy. Znacznie starsza od pozostałych kobiet, rozdzielala zadania i skrupulatnie rozliczała z ich wykonania. Niewysoka, o wydatnych kobiecych kształtach, zagorzała wielbicielka Führera z oddaniem sprawie dbała o to, żeby wszystko działało jak w dobrze naoliwionej maszynie. Wśród pracownic i współpracowników, oficerów i ich sekretarek budziła strach i szacunek, bo była do bólu sprawiedliwa i rzetelna, jeśli chodziło o wykonywanie zadań. Łatwo było jej podpaść, trudno, o ile to w ogóle możliwe, zdobyć jej zaufanie.

Marta pracowała tu już miesiąc. Współpracownice, głównie Niemki, ale też kilka volksdeutschek, były wobec niej nieufne. Niejednokrotnie dawały jej odczuć, że nie jest jedną z nich, bo przecież Austria to nie to samo co stare, dobre Niemcy. Na korzyść Marty przemawiał jednak fakt, że Oskar zginął, służąc w Wehrmachcie. Ale już jej panieńskie nazwisko, Orlińska, zdecydowanie nie brzmiało dobrze. Marcie nie przeszkadzały chłodne stosunki z koleżankami. Przyjęła taktykę, żeby jak najrzetelniej wykonywać przydzielane jej zadania, nie absorbując otoczenia swoją osobą. Niestety z dnia na dzień jej umiejętności zwracały coraz większą uwagę zarówno

współpracownic, jak i przełożonej. Sprawne palce pianistki, absolwentki wiedeńskiego konserwatorium, równie szybko poruszały się po klawiaturze maszyny do pisania, jak wcześniej muskały klawisze fortepianu. Każdy tekst pisała dwa, trzy razy szybciej niż koleżanki. Nie mogła grać, więc pisanie na maszynie stało się dla niej substytutem tego, co kochała całym sercem, odkąd była dzieckiem. Zdarzało się, że pracując, zamykała oczy i wyobrażała sobie, że uderza lekko w klawiaturę instrumentu, grając etiudy, sonaty, nokturny. I chociaż jej palce przepisywały słowa, a nie wygrywały dźwięki, ona całą sobą stawiała się muzyką. W tych krótkich chwilach znowu była dawną Martą.

Z czasem koleżanki zaczęły podrzucać jej ten lub inny dokument do przepisania czy przetłumaczenia, żeby mieć więcej czasu na plotki i flirtowanie. Nigdy się nie sprzeciwiała, nie krzywiła, nie donosiła przełożonej. Przestały więc traktować ją jak zagrożenie, a nawet w pewien sposób polubiły. Tak jak lubi się kogoś, kto jest przydatny.

Heidi, Rita, Eva, Renate, Kirstin, dawniej zwana Krystyną, Magda i inne stenotypistki ubrane w pracy w marynarki i spódnice z przydziałowego materiału, przypominały kobiece wojsko. Wolno im było podkreślić swoją kobiecość jedynie elegancką fryzurą, kapeluszem czy torebką. Zupełnie inaczej traktowano osobiste sekretarki oficerów, które na tle stenotypistek wyglądały jak kolorowe ptaki. Większość z nich zaczynała swoją karierę tak samo – w tej wielkiej sali jako podwładne pani Baumann. Potem awansowały na stanowiska sekretarek poprzez łóżka swoich szefów albo dzięki protekcji rodziny

czy ślepemu oddaniu sprawie. Z reguły były to bardzo piękne kobiety, ale też wyjątkowo bezwzględne, okrutne i wyrachowane. Marta doskonale zdawała sobie z tego sprawę i w ich obecności stawiała się niezwykle ostrożna. Szczególnie starała się unikać Gertrudy Leim, osobistej sekretarki i prawej ręki oficera Gestapo, kapitana Bertolda Schultza. Niewątpliwie kobieta doskonale odnajdywała się w męskim świecie niemieckiej maszyny wojennej. Gdyby doszło do rozstania z Bertiem, jak powszechnie był nazywany, znalazłaby miejsce u boku innego wpływowego mężczyzny. A mężczyźni kochała pasjami. Tak jak dobrą zabawę, drogie ubrania i biżuterię.

W budynku, w którym znajdowało się biuro stenotypistek, urzędowało całe grono wojskowych. Wśród nich byli tacy, których Marta wolała unikać, i tacy, którzy wydawali się zupełnie sympatyczni. Niewątpliwie większość z nich traktowała kobietą częścią administracji jako miłe urozmaicenie i uprzyjemnienie w wojennej służbie. Mimo że pani Baumann nie patrzyła przychylnie na romanse w pracy, niejedna z jej podwładnych spędzała chwile zapomnienia w ramionach tego lub innego oficera, stęsknionego kobiecego ciepła pod nieobecność żon czekających na nich w ojczyźnie. W przypadku Marty zarówno jej niechęć do flirtowania, jak i pochodzenie zdecydowanie odstraszały potencjalnych adoratorów.

Tego dnia, od samego rana, koleżanki wyraźnie podekscytowane szeptały coś między sobą. Z tego, co zdołała usłyszeć, rozmawiały o jakimś oficerze, który wrócił do Warszawy po dłuższej nieobecności. Wprost nie mogły się doczekać spotkania z nim. Wyglądało na to, że niejedna chętnie zawarłaby z nim

bliższą znajomość. Na szczęście obiekt ich zainteresowania nie dał na siebie zbyt długo czekać i jeszcze przed południem pojawił się w sali stenotypistek. Towarzyszyła mu uczepiona jego ramienia i rozszczebiotana Gertruda Leim. Mężczyzna podszedł do biurka przełożonej, przywitał się i zamienił z nią kilka słów. Zdumiewające, że na twarzy pani Baumann pojawił się uśmiech. Był to chyba pierwszy uśmiech, jaki Marta widziała na jej twarzy, odkąd rozpoczęła tutaj pracę.

Niestety z miejsca, w którym siedziała, Marta mogła zobaczyć jedynie zarys sylwetki mężczyzny. Wydawał się wysoki, dobrze zbudowany i raczej młody. Po chwili rozmowy z szefową odwrócił się i ruszył w głąb sali, żeby przywitać się z pracującymi kobietami. Marta spojrzała na niego i zamarła... Oficerem, który zmierzał w ich kierunku, był jej wczorajszy wybawca.

Jakim cudem spotykam go ponownie? Czyżby mnie śledził? – myślała gorączkowo. – Przecież Wehrmacht nie zajmuje się takimi sprawami – uspokajała sama siebie. – Gdyby był z Gestapo albo SS, to co innego. Tylko że oni mają inne metody... A może jednak to specjalnie ktoś spoza Gestapo, żebym się nie spodziewała? Kto wie – analizowała w głowie. Teraz jedyne, co jej pozostało, to zachować spokój.

Na szczęście wszystkie oczy skierowane były na gościa i nikt nie zwracał na nią uwagi. Tymczasem mężczyzna, nadal w towarzystwie Gertrudy, witał się po kolei z paniami. Musiał dobrze znać większość z nich, bo z każdą zamienił kilka słów, zażartował. Marta miała więc czas, żeby się opanować. Opuściła oczy, pozornie niezainteresowana całym tym zamieszaniem, zdawała się być pochłonięta pracą. Kiedy para podeszła do jej

biurka, kobieta ze spokojem podniosła głowę, by się przywitać. Wtedy w oczach mężczyzny pojawiło się ledwo zauważalne zaskoczenie. A więc jednak jej nie śledził, odetchnęła z ulgą.

- A to jest nasza nowa pracownica, Marta Heller - przedstawiła ją Gertruda. - Przyjechała do nas z Wiednia.

- Miło mi poznać. Porucznik Wilhelm Oldenburg - powiedział, przedstawiając się jej po raz kolejny w ciągu dwóch dni.

Marta odpowiedziała uśmiechem i skinieniem głowy. Ich spojrzenia spotkały się i patrzyli na siebie o sekundę za długo, niż powinni. Nie umknęło to uwadze Gertrudy. Jednak Willi zareagował odpowiednio. Zdawało się, że wyczytał w oczach Marty prośbę i chociaż miał ochotę zapytać o ich wcześniejsze spotkanie, zwrócił się do niej jakby bez większego zainteresowania:

- Mam nadzieję, że będzie nam się dobrze współpracować. Do widzenia, pani Marto.

Po czym podał ramię Gertrudzie i wyszli z biura.

Po ich wyjściu koleżanki, udając, że pracują, wymieniały się spostrzeżeniami na temat porucznika Oldenburga. Żałowała, że wcześniej nie wsłuchiwała się uważniej w ploteczki, którymi dzieliły się przed południem. Teraz nadstawiła uszu z dużo większym zainteresowaniem. Jak się dowiedziała, w Warszawie stacjonował już kilka miesięcy, a jego przełożonym był major Geissler. Ucieszyło ją to, bo major, chociaż bardzo wymagający, starał się otaczać ludźmi na poziomie i tępił wszelkie przejawy upokarzania innych. Jak zdołała wywnioskować, przełożony porucznika od dawna przyjaźnił się z jego rodziną, a Willego traktował jak syna. Młody Oldenburg po

swoim zmarłym ojcu odziedziczył nie tylko ogromny majątek, ale i tytuł barona. Dowiedziała się również, że wcześniej się ożenił i szybko owdowiał. Najwyraźniej jednak nie cierpiał zbyt z tego powodu, bo panie na Szucha wprost przepadały za jego towarzystwem.

Marta postanowiła wykorzystać okazję i zapytać o coś, co rzuciło się jej w oczy dopiero dzisiaj, bo poprzedniego dnia przykrywała to czapka oficerska. Prawą skroń Wilhelma aż do górnej części kości policzkowej pokrywały blizny. Wyglądały jak ślad po postrzale.

- A ta blizna na jego twarzy skąd się wzięła? - zapytała kobieta.

- To pamiątka z Francji. Jego oddział napadli bandyci. - Heidi jako pierwsza udzieliła odpowiedzi. - Tylko on przeżył - dodała, nadając słowom ton tajemniczości. - Długo chorował. W ogóle to cud, że z tego wyszedł.

- Podobno kilka dni spędził w lesie. Ranny. Zupełnie sam - powiedziała Renate, dodając dramaturgii. - Straszne, prawda? No i po tym wypadku miał zaniki pamięci. Podobno nawet nadal je miewa.

- Oczywiście, że tak. Przecież to świetna wymówka, gdy chce się pozbyć kobiet, z którymi nie zamierza się już spotykać - dodała złośliwie Eva. - „Kochanie, nie pamiętam, żebyśmy byli razem...”.

Dziewczęta zachichotały. Pani Baumann podniosła się z miejsca i z groźną miną ruszyła w ich kierunku. To był znak, że pora kończyć pogaduchy. Panie karnie udały się do swojej pracy.